

Marek Sołtysik

Czarna godzina polskiej demokracji

Palestra 48/11-12(551-552), 166-172

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

CZARNA GODZINA POLSKIEJ DEMOKRACJI

To były trudne dni. Trudne dla wszystkich – i brzydkie. Od tygodnia, czyli od 9 grudnia 1922 r., kiedy pierwszym Prezydentem odrodzonej Rzeczypospolitej obrany został Gabriel Narutowicz, ulice Warszawy stały się tłem gorszących manifestacji i ekscesów. Narodowa Demokracja bowiem, której kandydat Maurycy Zamoyski, przegrał, nie kryła wzburzenia. Wykorzystując własną prasę, m.in. „Gazetę Warszawską” i antysemitkę „Gazetę Poranną 2 Grosze”, podżęgała: jakże to, kiedy po tylu trudach wreszcie zostały stworzone ramy życia państwowego, o najdonioślejszych dla Polski sprawach zadecydowały głosy niepolskie? Jak pisze we *Wspomnieniach* Zofia Kirkor-Kiedroniowa (Kraków 1989), żona ministra, siostra ówczesnych polityków, Władysława i Stanisława Grabskich – przeciwnicy Narutowicza podczas manifestacji 10 grudnia uchwalili, że wyślą delegację, która Narutowicza wezwie, „aby nie przyjął wyboru i przysięgi, która dopiero uczynić go miała prezydentem, nie złożył. Delegację odprowadzał zwarty tłum, ale gdy nie została dopuszczona, zaczęto wznosić wrogie dla Narutowicza okrzyki. Motywem, który przeciw niemu narodową Warszawę tak nieprzyjaźnie uosobił, było między innymi przekonanie, że jest on masonem i ateuszem (...). Policja demonstrantom nie przeszkadzała, właściwie nie był jej widać”.

Wyboru prezydenta Rzeczypospolitej dokonywał Sejm łącznie z Senatem, w myśl tzw. małej konstytucji uchwalonej w marcu 1921 r. Piłsudski dowiedziawszy się, że nie otrzyma na siebie głosów „Piasta”, zalecił swoim zwolennikom kandydaturę Narutowicza. Głosowano raz po raz – i stąd początkowe głosy ulicy, że zwyciężył ordynat Zamoyski, były wiceprezes paryskiego Komitetu Narodowego, on to bowiem czterokrotnie otrzymał największą liczbę głosów. Za piątym razem „Piast” odstąpiwszy od własnej kandydatury, zsolidaryzował się z socjalistami i „Wyzwoleniem” oraz z blokiem mniejszości narodowych, składającym się z Ukraińców, nacjonalistów białoruskich, Niemców i z dużej grupy Żydów. Zwyciężył Narutowicz.

11 grudnia – dzień zaprzysiężenia prezydenta. Związek Ligi Narodowej nie wziął udziału w uroczystości, a młodzi radykalni narodowcy i „żywiol”, pod hasłem niedopuszczenia do zaprzysiężenia, zablokowali trasę przejazdu posłów i senato-

rów do Sejmu na Zgromadzenie Narodowe; trwał zbity tłum od Placu Trzech Krzyży aż do wylotu Wiejskiej. Po stronach ostrzeliwujących się bojówek socjalistycznych i narodowców były ofiary, w tym śmiertelna [Maria Kasprowiczowa, która wraz z mężem, poetą Janem Kasprowiczem, przybyła w listopadzie ze Lwowa do Warszawy w dniach powszechnego głosowania do Sejmu, i wraz z nim – zawiedzionym, że nie znalazł się na liście kandydujących do Senatu z listy narodowej – zatrzymała się na Zamku u jego znajomych ze sfer rządowych, podaje w *Dzienniku* (Warszawa 1968), że było dwóch zabitych]. Kirkor-Kiedroniowa: „Gdy powóz Narutowicza zbliżał się, chłopcy rzucili się na ziemię – po ciałach chyba nie przejeździe. Nie przejechał, lecz i nie zatrzymał się, bo woźnica był na tyle roztropny, że aby ominąć żywą barykadę, skrzył na prawo, na chodnik (...) i z kilkunastu wzniesionych w górę lasek jedna dosięgnęła kapelusza Narutowicza”.

A pod piórem Haliny Ostrowskiej-Grabskiej – malarki i tłumaczki – wówczas studentki Szkoły Sztuk Pięknych (*Bric à brac*, Warszawa 1978): „Nie był to zwarty tłum, ale liczne grupy studentów przeważnie w korporanckich czapkach. (...) Zaintrygowało mnie widoczne podniecenie tych nawołujących się grup. W pewnym momencie wszystko znieruchomiło. Środkiem placu, kierując się ku Wiejskiej, nadjeżdżał powóz zaprzężony w białe konie. (...) rozległy się gwizdy, krzyki i zobaczyłam z przerażeniem, jak owi korporanci chwytają zmarzły, brudny śnieg, leżący w pryzmach przy trotuarach, i walą tymi bryłami w powóz. Powóz jechał szybko, grudy odbijały się od niego, ale któraś z pacyn dosięgnęła jednak prezydenta. Stałam zamarła ze zgrozy i palącego wstydu. (...) żeby walić zmarzłymi grudami w tego światłego, szlachetnego człowieka!”.

Pierwszy Prezydent RP złożył przysięgę w obecności połowy posłów sejmowych.

Gabriel Narutowicz, urodzony w 1865 r. na Żmudzi, był inżynierem hydrotechnikiem po studiach w Petersburgu i w Zurychu. Związany z emigracyjną grupą II Proletariatu, miał przez władze rosyjskie odcięty dostęp do kraju. Autor wielu rewelacyjnych projektów elektrowni wodnych we Włoszech, w Hiszpanii i w Szwajcarii – w 1907 r. został profesorem politechniki w Zurychu. W czasie I wojny światowej działał jako społecznik, filantrop i publicysta na rzecz sprawy polskiej, utworzył w Zurychu Polski Komitet Samopomocy, był członkiem Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Po powstaniu państwa polskiego wrócił do kraju, gdzie był w latach 1920–1922 ministrem robót publicznych, delegatem Polski na konferencję w Genui, od 28 czerwca 1922 r. ministrem spraw zagranicznych. Wybrany na Prezydenta Rzeczypospolitej 9 grudnia 1922 r., miał przed sobą jeszcze siedem dni życia.

Człowiek, który podniósł na niego rękę, był odeń o cztery lata młodszy. Warszawianin, Eligiusz Niewiadomski, malarz, historyk sztuki, krytyk, pedagog, od ćwierćwiecza był autorytetem w swoich dziedzinach. Twórca polichromii kościelnych i witraży, publicysta, ruchliwy popularyzator, autor cenionych książek o malarstwie, wykładowca w kilkunastu uczelniach. „Był moim profesorem w Szkole Sztuk Pięknych – pisał o Niewiadomskim Antoni Słonimski (*Alfabet wspomnień*, Chicago

1977). Wysoki, w binoklach, szczupły, sztywno chodząca normalność. Chyba jedna cecha szczególna. Nie uśmiechał się. Nie miał poczucia humoru. Czy był psychopatą”?

Cóż, pozostawmy ten znak zapytania. Spisana przez naocznego świadka scena z nielegalnej manifestacji patriotycznej, zorganizowanej w 1891 r. w Warszawie przez studentów dla uczczenia setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja: „Zdarzyło się, że jakiś dorożkarz koniecznie chciał pochód przerwać – w odpowiedzi na ostrzeżenie, że nie wolno, zaczął sobie batem drogę torować. Wtem z pochodu wyskoczył młody cienki student w nieznanym mi mundurze, chwycił konia za uzdę, dorożkarza zaś kijem przez plecy zwałił. Zdziwiony odwagą nieznanego, zacząłem się dowiadywać, kto to był, zaraz też objaśniono mnie, że to dawny uczeń Szkoły Rymskiej, obecnie student Akademii w Petersburgu – Niewiadomski”.

Relacja powyższa pochodzi od Mariana Trzebińskiego (*Pamiętnik malarza*, Wrocław 1958), który był (wraz z malarzem Edwardem Okuniem i historykiem, dr. Maciejem Loretem) współzałożycielem loży polskiej „Polonia” powstałej w 1916 r. w Rzymie w obediencji Wielkiej Loży Włoskiej obrządku szkockiego – a Okuń i Trzebiński, inicjowani w tej loży, „byli faktycznymi założycielami loży «Kopernik»”, (Leon Chajm, *Polskie wolnomularstwo 1920–1928*, Warszawa 1984). Z gościnnej pracowni Trzebińskiego – gdzie w dwu walizkach przechowywano insygnia wolnomularskie – korzystali koledzy malarze i pisarze (wśród nich Eligiusz Niewiadomski, który tam namalował jeden z najcenniejszych portretów Stefana Żeromskiego). I pomyśleć, że kuchennymi schodami ekskluzywnej kamienicy na Szpitalnej, wspinał się na poddasze autor *Walki z szatanem*, żeby tam nieraz Niewiadomskiemu pozować.

Niewiadomski studiował m.in. w mieście nad Newą, tak jak Narutowicz. W Akademii w Petersburgu otrzymał dwa małe srebrne medale, dwuletnie stypendium po 300 rubli rocznie, ukończył studia z dużym srebrnym medalem. Za dyplomowy obraz *Centaury w lesie* – malowany pod wpływem Böcklina – otrzymał w 1894 r. tytuł artysty I stopnia i wielki złoty medal, a niebawem i nagrodę pieniężną. Za ten sam obraz w 1896 na wystawie w Zachęcie otrzymał złoty medal.

Prześladował go pech. W 1895 r. wyjechał do Paryża na studia. Tam – według *Słownika Artystów Polskich* – doznał poparzenia całego ciała, leczył je przez rok. A dalej już Trzebiński (o dniu 28 lutego 1918): „Były to czasy budzącej się państwowości polskiej, organizowano życie we wszystkich dziedzinach. Ponieważ się okazało, że w Warszawie są dwie szkoły sztuk pięknych, więc jedną z nich miał przejąć magistrat i uczynić z niej szkołę przemysłu artystycznego. Eligiusz Niewiadomski, który wtedy miał duże wpływy i brał gorący udział w organizowaniu życia artystycznego stolicy udając się do magistratu na posiedzenie tak niefortunnie do tramwaju wskoczył, że się dostał między dwa wagony, po czym strasznie poturbowany parę tygodni w szpitalu przeleżał!

Nie był to człowiek łatwy. Wzięty ilustrator, wciąż miał kłopoty z cenzurą. W 1899 r. wszedł do zarządu Zachęty, ale Zachętę krytykował. Od 1897 r. aktywnie działał jako członek Ligi Narodowej. Zagorzały taternik – opracował mapę turystyczną Tatr i ofia-

rował ją Towarzystwu Tatrzańskiemu. Kolportował przez granicę prasę wszechpolską. W nocy z 2 na 3 czerwca 1901 r. aresztowany i do listopada 1901 r. więziony w X Pawilonie Cytadeli warszawskiej. W 1904 r. wystąpił z Ligi Narodowej. Opracował plan działań i program studiów Szkoły Sztuk Pięknych – ale po jej otwarciu... zadziwiająca historia – zrezygnował ze stanowiska profesora i zapisał się na rok akademicki 1904... w charakterze studenta! Od 1905 r. raz w tygodniu prowadził tam wykłady – opłacany przez uczniów. W „Gońcu Porannym” krytykował „barbarzyństwo objawiające się w ozdabianiu naszych kościołów” i udzielał bezpłatnych porad z zakresu archeologii. Po wybuchu I wojny światowej wysłał rodzinę do Lwowa, a sam w Warszawie wstąpił do organizacji sanitarnych. Utrzymywał się z odczytów, trochę z portretów. Objął stanowisko starszego referenta w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W 1918 r. mianowany naczelnikiem Wydziału Malarstwa, Rzeźby i Sztuk Zdobniczych, następnie wraz z departamentem przeniesiony do Ministerstwa Sztuki i Kultury. Organizował początki przemysłu artystycznego, zainicjował ewidencję czynnych w Polsce artystów i ich dorobku. W czasie wojny polsko-sowieckiej 1920 pracował w II Oddziale Sztabu Generalnego, skąd ochotniczo przeszedł do służby pierwszoliniowej jako szeregowiec 5 Pułku Piechoty Legionów III Kompanii Zapasowej w Chełmnie i na własne żądanie został wysłany na front! Po demobilizacji – ponownie nominowany na naczelnika wydziału – powrócił do M S i K. 8 listopada 1921 r. podał się do dymisji, żeby mieć czas i spokój na pisanie książek o sztuce.

16 grudnia 1922 r., podobnie jak wybrani artyści i dyplomaci, podążał do Zachęty. Jak wyglądał? Opisuje Emil Zegadłowicz, który przez jakiś czas był jego podwładnym w ministerstwie (*Motory*, Łódź 1981): „Suchy, wysoki, twarz ostra z blond bródką, skład głowy (...) nordycki, Szwed czy Norweg – jakby przed chwilą wrócił z wyprawy polarnej (...); witał się z wszystkimi bardzo grzecznie, swoistym gestem wyrzucał dłoń od piersi; spojrzenie czyste, niebieskie spoza złotych okularów (zawsze ta biała ropna plamka w przynosowych kątach oczu); wróg ówczesnego reżymu ekspresjonistycznego, kubistycznego, dadaistycznego (...) – organizator, fandyk, wizjoner nieszczęsny”.

Za kilka godzin specjalne wydanie wieczorne „Kuriera Warszawskiego” przyniesie opis tragedii podczas otwarcia dorocznego Salonu Zachęty: „Prezydent przybył w otoczeniu świty i przyjęty przez prezesa Kozłowskiego i wiceprezesa (Edwarda) Okunia, wszedł na schody. Zwiedzanie wystaw zaczęło się od tzw. sali honorowej. Z katalogiem w ręce prezydent z wolna postępował od obrazu do obrazu. Gdy z kolei stanął przed obrazem (Teodora) Ziomka Szron, znajdujący się tuż obok w pierwszym rzędzie tłoczącej się za urzędowym orszakiem publiczności artysta malarz Eligiusz Niewiadomski, zbliżywszy się o kilka kroków do prezydenta, wystrzelił kilka razy z rewolweru raz po raz. Prezydent zachwiał się, a podtrzymywany przez Okunia, złożony został na podłodze, (niebawem opiekę nad rannym objęła poetka Kazimiera Iłłakowiczówna, sekretarka Marszałka Piłsudskiego) (! ...) po upływie kilku minut oddał ostatnie tchnienie, nie przemówiwszy ani słowa”.

A tak wydarzenie odebrała Maria Kasprowiczowa, która na wernisaż przybyła z

przyjaciółką i najpierw tłumiała przesadny, jej zdaniem, zapach tej pani żartami, że Prezydent „ma z lekka wyrudziały paltot i że spodnie jego nie są idealnie wyprasowane. (...) I nagle... trzy prędkie, następujące po sobie strzały. Chwila strasznego popłochu, kilka osób rzuca się ku drzwiom. (...) Wszyscy odruchowo cofnęli się ku ścianom, jedynie pośrodku został leżący człowiek z otwartym skrawionym gorssem. Potem przeniesiono go sztywnego i nieruchomego na kanapę. Zdaje się, że już wtedy nie żył. Jedna z kul trafiła w samo serce. Publiczność wyprowadzono do przyległej sali, gdzie trzymano nas przez parę godzin. (...) Przybiegło kilku lekarzy, ksiądz z olejami, ale nie mieli tam już nic do roboty. Po jakiejś godzinie wyniesiono na noszach ciało, pokryte sztandarem narodowym. Przez okna widziałam plac przed Zachętą, czarny od zebranych tłumów. (...) Nasze postawiono na otwartej landarze, zaprzężonej w białe konie. Na stopniach stanęli adiutanci, z tyłu zaś ruszyła konna straż honorowa. Taki to był powrót pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej do Belwederu”.

Na pluszowej kanapce, wśród ciekawych tłoku

Jakże długo umierać trzeba od krwotoku.

– pisał pod natychmiastowym wrażeniem Antoni Słonimski. Wspomina, „jak na tę zbrodnię reagowało środowisko inteligencji postępowej. Dominowało uczucie bólu i hańby. Mieliśmy Polskę, mieliśmy pierwszego Prezydenta i zabił go Polak”. W nocy z 9 na 10 grudnia zaniósł wiersz do redakcji „Kuriera Polskiego”. „Rosner polecił metrapażowi rozsypać artykuł i dać mój wiersz na całą pierwszą kolumnę”.

Tak tragedię w Zachęcie wspomina Ostrowska-Grabska: „spóźniłam się, tak że jak tylko przyszłam, wejście na schody było zagrodzone przez woźnych, którzy nikogo nie wpuszczali. Zaraz potem wbiegli policjanci i wojskowi – zrobiło się niebywałe zamieszanie w niezrozumiałej ciszy. Wniesiono nasze (...) schodząca z góry znajoma osoba powiedziała mi szeptem, że istotnie prezydent został zabity i że zastrzelił go Eligiusz Niewiadomski – Niewiadomski! Profesor, u którego przed paroma dniami spokojnie zdawałam egzamin! Kilka osób doznało szoku. Tuwim rozszlochał się spazmatycznie.

Wstrząs był straszny. Było rzeczą niepojętą, by w młodej, odzyskanej, budującej się ojczyźnie namiętności reakcji nie cofnęły się przed morderstwem, które później jeszcze reakcja ta gloryfikowała, czyniąc z mordercy bohatera (grób na Powązkach). Rysa zaznaczająca dotąd podział społeczeństwa stała się nagle przepaścią (...) to już z perspektywy. Ale w danym momencie – ogluszeni, czuliśmy się wplątani w jakąś hańbę. Przecież ten wernisaż był jakby zasadzką i to pierwsze w historii Polski «królobójstwo» dokonane zostało przez artystkę na terenie poświęconym sztuce. (...) Ciało na noszach ułożono w powozie. Znajomi spotkali ten ekwipaż na Nowym Świecie. Na jednym stopniu powozu stał z gołą głową cywil (...), na drugim generał Jacyna. Łzy ciurkiem lały mu się a po twarzy. (...) Żałoba spadła na miasto”.

W wyniku jednodniowego procesu 30 grudnia 1922 r. Eligiusz Niewiadomski został skazany przez Sąd Okręgowy w Warszawie na rozstrzelanie.

Stanisław Grabski, profesor Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie,

współzałożyciel PPS w Paryżu, potem działacz endecki, na emigracji, członek Rady Narodowej, w *Pamiętnikach* (Warszawa 1989) pewne szczegóły objaśnia: „Znałem Niewiadomskiego jeszcze z czasów moich gimnazjalnych. Należał on do centralizacji tajnych kółek samokształcenia w średnich szkołach Królestwa Kongresowego. Odznaczał się już wówczas skrajnym indywidualizmem, mocno utrudniającym współpracę z nim. W wieku dojrzałym szedł on zawsze własną swoją drogą. Pomimo na wskroś narodowych swych przekonań nie brał udziału w pracach ani Ligi Narodowej, ani Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Odczuwając gorąco wszystko, co naród nasz przeżywał, zarówno jego dążenia i walki, jak i spadające nań ciosy – był jednak politycznym samotnikiem. I sam jeden też, z nikim się nie radząc, postanowił zabijając prezydenta Narutowicza położyć raz na zawsze kres narzucaniu Polsce przez Piłsudskiego rządów wbrew woli większości narodu. Stwierdził on to wyraźnie na rozprawie sądowej, wyrażając tylko żal, że zabił człowieka niewinnego zamiast właściwego winowajcę – Piłsudskiego. Sam przy tym prosił o karę śmierci dla siebie, by czyn jego nie stał się zachętą do dalszych politycznych zamachów. Prasa jednak stronnictw lewicowych przez długie lata przy lada okazji oskarżała o zamordowanie prezydenta Rzeczypospolitej Narodową Demokracją”.

Aby sprawę rozświetlić, posłuchajmy jeszcze głosu Słonimskiego: „Dla nas Narutowicz był postacią sympatyczną, godną szacunku. Był w Polsce przybyszem. Gdy parę lat później prezydentem państwa został Mościcki, pisząc o «Wystawie wynalazków» wspominałem, że było tam osiem wynalazków Mościckiego i jeden wynalazek Piłsudskiego: Mościcki. Otóż Narutowicz był takim wynalazkiem Marszałka i jak sam Niewiadomski zeznał, kulę, która ugodziła Narutowicza, szykował na Piłsudskiego”.

„Żeromski był cały czas obecny na procesie Niewiadomskiego, ale milczał, gdy rozpaczaliśmy, i nie wypowiedział swego zdania” – zauważył Słonimski, a Kirkor-Kiedroniowa zapamiętała, że jej brat, Władysław Grabski, wzburzony czynem Niewiadomskiego, po jego procesie nie mógł się jednak otrząsnąć i powtarzał, „iż zdawało mu się, że widzi Husa przed sądem”.

Czas dokończyć opowieść Trzebińskiego o patriotycznym wyczynie z 1891: „zagarnięto wielu manifestantów cywilnych i studentów, pośród których znalazł się student wydziału przyrodniczego Stanisław Wojciechowski. Osadzono go w Cytadeli, skąd wypuszczony za kaucją zbiegł za granicę (...) student Niewiadomski szczęśliwie przed pogromem kozackim (...) W trzydzieści lat później te dwa nazwiska zeszły się jeszcze raz w życiu, gdy Stanisław Wojciechowski jako prezydent RP podpisywał wyrok śmierci na malarza Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcę prezydenta Narutowicza”.

Wojciechowski rozważał zadośćuczynienie licznym prośbom o łaskę w imieniu zrozpaczonej rodziny zabójcy; postawił warunek: ma on wyrazić skruchę. Warunek niewykonalny w wypadku dumnego sprawcy czynu, o którym tak odważnie w *Liście otwartym do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego* (Warszawa 1923) wypowiedział się radykał, pisarz i adwokat Leo Bel-

mont: „Niepodobna zaprzeczyć, iż on był tym zabójcą i działał w imię źle pojętej, ale zawsze głębokiej miłości do Polski”.

Narutowicz nie zdążył powiedzieć słowa. Morderca odebrał mu szansę.

Niewiadomski w więzieniu zdążył napisać ostatni rozdział *Malarstwa polskiego XIX i XX wieku*, list otwarty *Do wszystkich Polaków* i *credo* życiowe *Kartki z więzienia*. O świcie 31 stycznia 1923 r. wykonano na nim wyrok w Cytadeli warszawskiej.

Na tym tekst miał się skończyć – jako próba łagodnego wypośrodkowania. Coś mi jednak nie dawało spokoju; wróciłem do lektury cytowanych tu *Wspomnień* siostry ministrów. Pełna kultury dama opisując swój pobyt w kuracyjnym Truskawcu i zbawczy relaks w kasynie, oznajmia z ulgą: „Na członków kasyna nie przyjmowano Żydów”. I pół strony dalej: „Spośród dość licznie reprezentowanych w Truskawcu warszawiaków największą uwagę zwracały na siebie żona i piękna – jasnowłosa, ciemnooka córka Eligjusza Niewiadomskiego, obie w ciężkiej żałobie. Wyróżniano je i honorowano przy każdej sposobności. Niewątpliwie zasługiwały na szczególne współczucie, nieszczęście ich bowiem wyjątkowo tragiczne było. Ale miałam wrażenie, że odgrywały tu także rolę względy polityczne! – Jakie względy? – pytam zdumiony i zasłaniam wzrok przed reflektorem nietolerancji.